

# Aleksander Dumas

## Opowieści o duchach



# Opowieści o duchach





**Aleksander Dumas**

**Opowieści o duchach**

**Jeden dzień**

**w Fontenay-aux-Roses**

Tłumaczył Stanisław Kuliński

**Jirafa Roja**  
Warszawa 2007


© Copyright by Jirafa Roja, 2007

Tytuł oryginału: „Les Mille et un Fantômes”

Tłumaczenie: Stanisław Kuliński

Redakcja: Paweł Waszczyk

Korekta: Magdalena Rejnert

Łamanie: Tatsu 

Projekt okładki: Żaneta Delegacz

ISBN 978-83-62948-44-4



Wydanie I  
Warszawa 2007

## Spis treści

Wstęp .....	7
I. Ulica Dyany w Fontenay-aux-Roses .....	15
II. Ulica Sierżantów .....	22
III. Protokół .....	30
IV. Dom Scarrona .....	39
V. Policzek Karoliny Corday .....	50
VI. Solange .....	60
VII. Albert .....	74
VIII. Kot, odźwierny i szkielet .....	83
IX. Groby w Saint-Denis .....	96
X. L'Artifaille .....	110
XI. Bransoletka z włosów .....	133
XII. Góry Karpackie .....	142
XIII. Zamek Brankowan .....	152
XIV. Dwaj Bracia .....	160
XV. Klasztor Hango .....	172



# Wstęp

Mój drogi Vernonie!

Przy okazji owych zebrań wieczornych, dziś niestety tak rzadkich, podczas których jedni dowoli gawędzili, drudzy zwierzali się z rozterek serca, dawali się unosić porywom dowcipu, lub rozsiewali skarby wspomnień, mówiłeś mi często, że od czasów Szeherazady i po Nodierze<sup>1</sup> jestem jednym z najlepszych i najbardziej zajmujących gawędziarzy, jakich się zdarzyło słyszeć.

Dzisiaj piszesz mi, iż w oczekiwaniu długiej opowieści — jednej z tych historii, które zwykle opisuję, zawierając w nich wiek cały — życzyłbyś sobie dwóch, trzech, najwyżej sześciu tomów, skromnych kwiatków z mego ogródka, które można by rozsypać pomiędzy polityczne aktualności bieżącej doby.

Ach, mój przyjacielu! Czasy dzisiejsze są smutne, toteż i moje opowieści, muszę to z góry powiedzieć, nie są wcale wesołe. Będąc znużonym zdarzeniami świata realnego, tym razem zaczerpnę tematu ze świata fantazji. Niestety, obawiam się, iż nie wszystkie umysły, które choć trochę dążą ku wyżynom i są poetyckiego lub marzycielskiego usposobienia, będą podzielały moje upodobanie w świecie idealnym, tej

---

1. Charles Nodier (1780-1844), pisarz francuski.



jedynej, pozostawionej nam przez Boga ostoji przed rzeczywistością.

Trzeba Ci wiedzieć, iż siedzę w tej chwili pośród pięćdziesięciu tomów, które zgromadziłem celem przestudiowania materiałów do historii Regencji. Właśnie je skończyłem. Proszę tylko przy sposobności ogłoszenia odnośnej wzmianki, przestrzec wszystkie matki, by rzeczy tych nie dawały córkom do czytania. A zatem siedzę tu, jak wspomniałem, i w chwili, gdy piszę te słowa, spojrzenie moje pada na kartki pamiętników markiza d'Argenson<sup>2</sup>, gdzie pod nagłówkiem: „O konwersacji dawniej a dzisiaj” — czytam, co następuje: „Jestem przekonany, że w owych czasach, gdy Hotel Rambouillet nadawał ton lepszemu towarzystwu, umiano dobrze słuchać, a jeszcze lepiej rozprawiać. Tworzono tym smak i dowcip. Ja sam napotkałem jeszcze próbki tego rodzaju konwersacji u starych dworaków, których często odwiedzałem. Ich mowa była czysta, pełna wyrazu i zręczna; zawierała dużo antytez i porównań, wzmacniających sens zdania, była głęboka bez pedanterii i dowcipna bez złośliwości”.

Sto lat mija właśnie, od chwili, gdy markiz d'Argenson pisał te słowa. Był on wówczas mniej więcej w naszym wieku, i podobnie jak on, my obaj możemy powiedzieć: „znaliśmy starców, którzy byli inni, niż my teraz, to jest byli ludźmi dobrego towarzystwa”.

Myśmy ich widzieli, lecz nasi synowie już ich nie zobaczą, wskutek tego, sami nie będąc wiele warci, uchodzimy jednak za coś lepszego, niż nasi synowie.

Prawda, że każdy dzień zbliża nas ku wolności, równości i braterstwu, tym trzem wielkim słowom, które rewolucja roku 1793 cisnęła pomiędzy społeczeństwo nowoczesne, niby tygrysa, lwa i niedźwiedzia, okryte jagnięcą skórą. Są to, nie-

---

2. Pierre de Voyer d'Argenson (1626-1710), gubernator generalny Nowej Francji.

stety, tylko czcze słowa, które w lipcu czytaliśmy na naszych publicznych budynkach, przedziurawione kulami, osłonięte dymem wystrzałów.

Idę wraz ze wszystkimi, ruch jest moim żywiołem. Nie głoszę bezwładności, uchowaj Boże! Bezwładność to śmierć! Lecz idę podobny do tych ludzi, o których mówi Dante, że ich nogi kroczą naprzód, lecz głowa zwrócona jest wstecz.

Czego najbardziej poszukuję, tego najbardziej mi żal. Moje zwrócone wstecz spojrzenie szuka w przeszłości społeczeństwa, które wymiera, gaśnie i znika, jak jedno z tych fantastycznych zjawisk, o których wam chcę teraz powiedzieć.

Czy to społeczeństwo, które umiało żyć życiem (przebaczenie mi to wyrażenie, na które mogę się odważyć, nie będąc członkiem Akademii), życiem szlachetniejszym, zogniskowanym w wykwinnych obyczajach dworskich, czy to społeczeństwo umarło, czy też myśmy je zabili?

Przypominam sobie, że gdym jeszcze był małym chłopcem, ojciec zaprowadził mnie do pani Montesson<sup>3</sup>. Była to wielka dama, należąca bez reszty do ubiegłego stulecia. Przed około sześćdziesięciu laty wyszła za księcia Orleańskiego, dziadka króla Ludwika Filipa. W czasie, o którym mówię, miała blisko 70 lat i mieszkała w wielkim, wspaniałym pałacu przy Chanssee d'Antin. Napoleon wyznaczył jej rentę w wysokości stu tysięcy talarów.

Czy wiecie, pod jakim tytułem ta renta figurowała w czerwonej księdze następcy Ludwika XVI?

A więc, pani de Montesson pobierała od cesarza rentę stu tysięcy talarów za to, że w swym salonie zachowała tradycje dobrego tonu z czasów Ludwika XIV i Ludwika XV. Jest to akurat połowa sumy, wypłacanej teraz przez Izbę siostrzeńcowi cesarza za to, że każe Francji zapomnieć o tym, co miała sobie

---

3. Charlotte Jeanne Béraud de La Haye de Riou, znana jako markiza de Montesson (1738-1806), mecenas sztuki, barwna postać drugiej połowy XVIII wieku.

przypominać wedle woli wuja. Nie uwierzysz chyba drogi przyjacielu, iż to jedno słowo „Izba” wymówione nieopatrnie, przypomniało mi znów pamiętniki markiza d’Argenson.

Jakim sposobem? Zaraz to wyjaśnię. Skarżą się powszechnie — pisze on — że dzisiaj we Francji nie ma już konwersacji. Znam dobrze przyczynę tego. Zdolność słuchania zanika u naszych współczesnych z każdym dniem. Słucha się nie uważnie, lub raczej nie słucha się wcale. Zauważyłem to nawet w najlepszym towarzystwie, wśród którego się obracam. A więc, drogi przyjacielu, jakież jest dzisiaj najlepsze towarzystwo, w którym się obracać można? Bez wątpienia to, które osiem milionów wyborców uznało za godne reprezentować interesy, opinię i ducha Francji — to jest Izba Deputowanych.

Wejdzmy tedy do sali obrad tej Izby, któregokolwiek dnia o dowolnej godzinie. Założyć się można o sto przeciw jednemu, że ujrzymy na trybunie jednego jegomościa mówiącego, a na ławkach pięćset do sześciuset osób, które go nie słuchają lecz przerywają mu.

To, co mówię, tak dalece odpowiada istotnemu stanowi rzeczy, iż w akcie konstytucji z roku 1848 znaleźć można artykuł, zabraniający przerywania w parlamencie.

Spróbujcie policzyć tylko te mnogie policzki i uderzenia pięścią, które wymierzono sobie w Izbie przez rok jej obrad. Są one niezliczone.

Wszystko to, oczywiście, dzieje się w imię wolności, równości i braterstwa. A więc, drogi przyjacielu, żal mi wielu rzeczy, jak wspomniałem wyżej — nieprawdaż? — choć przeżyłem zaledwie połowę swego bytowania. Czego mi jednak najbardziej żal, to tego, na brak czego użalał się przed stu laty markiz d’Argenson: „delikatnego, przyzwoitego obejścia się”.

A przecież za czasów markiza d’Argenson nikomu nie przyszło na myśl, nazywać się „obywatelem”. A więc wniosek łatwy.

Gdyby wówczas piszącemu powyższe słowa markizowi d’Argenson powiedziano: „Patrzcie no, dokąd to zaszliśmy we Fran-

cji. Zasłona spada, komedia skończona, słycać tylko gwizdania. Niedługo w społeczeństwie nie będziemy mieli wytwor-nych gawędziarzy, sztuk pięknych, malarstwa, budowli — tylko samą złość i nienawiść”.

Gdyby to wówczas powiedziano markizowi d'Argenson, biedak bez wątpienia byłby się mocno przeląkł. Lecz cóż ja robię? Żyję dużo z umarłymi, trochę z wygnanymi. Próbuję wskrzesić na nowo wygasłe społeczeństwo i owych mężów, pachnących ambraw, zamiast cygarami i traktujących się pchnięciami szpady, zamiast uderzeniami pięści.

Dlatego zdziwiesz się, drogi przyjacielu, słysząc mnie gawędzącego i przemawiającego językiem, którym nikt nie mówi. Dlatego powiadasz, że jestem zajmującym narratorem. Dlatego głos mój, to echo przeszłości, słycać także w dobie niniejszej, która tak mało i źle słyszy.

Jesteśmy jak owi Wenecjanie osiemnastego stulecia, którym ustawa o wydatkach zakazywała nosić co innego, jak proste, ordynarne materie i sukna: napawamy wzrok nasz widokiem aksamitów, jedwabiów i złotogłowiu, z których królestwo przykrawało szaty naszych ojców.

Stosownie więc do Twego życzenia, posyłam Ci pierwszy tom mych „Opowieści o duchach”, to jest wstęp, zatytułowany: „Jeden dzień w Fontenay-aux-Roses”.

Szczerze życliwy  
Aleksander Dumas



Do Jego Królewskiej Wysokości Księcia de Montpensier!

Najdostojniejszy Panie!

Książka niniejsza poświęcona jest Waszej Królewskiej Wysokości i z tą myślą została napisana.

Jak wszystkie podniosłe umysły, tak i W.K. Wysokość wierzył w niemożliwości. Według tego mniemania, niemożliwość to tylko nieznany punkt w przyszłości. Każde wielkie odkrycie uważano długi czas za niemożliwość.

Ameryka była niemożliwością aż po koniec wieku piętnastego. Obrót ziemi był niemożliwością po koniec wieku szesnastego. Siła pary uchodziła za niemożliwość aż do początku wieku dziewiętnastego.

Te trzy niemożliwości nie tylko stały się materialną rzeczywistością, lecz ponadto przybrały trzy imiona ludzkie. Brzmiały one: Krzysztof Kolumb, Galileusz i Fulton<sup>4</sup>.

To prawda, że szukamy marzenia w śmierci, zamiast rzeczywistości w życiu, że zagłębiamy się w cień grobu, zamiast

---

4. Robert Fulton (1765-1815), inżynier amerykański, wynalazca, skonstruował pierwszy statek parowy.

kroczyć w jasnym blasku bytu, i że wzywamy na pomoc wiarę — tę światłość boską, zamiast ziemskiego światła — wiedzy.

Czy droga, wiodąca do grobu, zaludniona jest duchami? Czy na drodze do nieba unoszą się anioły?

Czy człowiek jest tylko stworzeniem w próżni odosobnionym, które za życia pozostaje bez związku z niebem, a po śmierci rozpada się w nicość? Czy też człowiek jest widzialnym i realnym ogniwem pomiędzy dwoma światami niewidzialnymi, idealnymi?

Czy coś z nas było przed nami? Czy coś z nas zostanie po nas? Czy to, co nas poprzedziło odgadło i przeczuło nasze namiętności? Czy to, co po nas zostanie, przypomni je sobie? Czy wreszcie owo „coś” może przybrać kształt widzialny wprawdzie, lecz niedotykalny, działający ze skutkiem lecz bezcielesny?

„That is the question” (oto jest pytanie), mówi Szekspir, ten potężny czarodziej, który zwycięsko pokonał ciężkie zadanie i wywołał duchy Banka i Hamleta.

Szeherezada opowiadała, by skrócić noce Samarkandzkie. Ja opowiadam, Wasza Królewska Wysokość, by skrócić dni Se Willi.

Aleksander Dumas

# I. Ulica Dyany w Fontenay-aux-Roses

1 września 1831 zostałem zaproszony przez mego dawnego przyjaciela, szefa biura jednej z domen królewskich, by wespół z jego synem rozpocząć sezon polowania w Fontenay-aux-Roses.

Podówczas lubiłem polowania niezmiernie, toteż dla tak namiętnego myśliwego jak ja, ogromną wagę miał wybór miejscowości, gdzie każdego roku rozpoczynały się łowy.

Zazwyczaj wybieraliśmy się do pewnego dzierżawcy, przyjaciela mego szwagra. U niego to raz, ubiwszy zająca, odbyłem debiut w sztuce Nemroda. Jego folwark leżał pomiędzy lasami Compiègne i Villers-Cotterets, o pół mili od ślicznej wioski Marienval, o milę od wspaniałych ruin Pierrefonds.

Dwa lub trzy tysiące morgów ziemi, składających się na tę dzierżawę, leżą wśród obszernej, lasami otoczonej równiny, której środek przecina urocza dolina. W głębi widać domy, wychylające się spośród zielonych łąk i najróżnorodniejszych drzew. Jedne, schowane wśród zieleni, zdradzają swoją obecność tylko sinymi smugami dymu, które początkowo wystrzelając prosto ku niebu pod ochroną otaczających pagórków, następnie pod powiewem wiatru załamują się i rozpościerają jak wachlarze palm.

W tej to równinie gania różnorodna zwierzyna z dwu sąsiednich lasów, jakoby na neutralnym gruncie. Toteż wszystkim



można napotkać na równinie Brassoire, pod lasem sarnę i bażanta, w polu zające, na stokach króliki, koło folwarku kuropatwy. Pan Macquet (tak się zwał nasz przyjaciel) był więc zawsze pewien naszego przybycia. Polowaliśmy cały dzień i następnego dnia o drugiej po południu powracaliśmy do Paryża, w pięciu lub w sześciu, ubiwszy kilkanaście sztuk zwierzyny, z czego nasz gospodarz nie chciał wziąć ani jednej.

Tego roku jednak sprzeniewierzyłem się panu Macquet i przyjąłem zaproszenie starego kolegi, znęcony obrazem, który mi przesłał jego syn, utalentowany uczeń rzymskiej szkoły, przedstawiającym widok równiny Fontenay-aux-Roses, obfitującej w ścierniska, pełne zające i łany koniczyny, pełne kuropatw.

Nie byłem nigdy jeszcze w Fontenay-aux-Roses. Okolice Paryża znałem bardzo mało. Jeśli się wybieram poza rogatki, to zwykle tylko po to, by się oddalić o pięćset lub sześćset kilometrów. Dlatego też przy każdej, nawet najmniejszej zmianie miejsca wszystko mnie zaciekawia.

O szóstej wybrałem się do Fontenay, wciąż wyglądając przez okno karety. Wyjechawszy przez rogatkę d'Enfer, minąłem na lewo ulicę Tombe-Issoire i jechałem ulicą Orleańską.

Jak wiadomo, Issoire jest to nazwisko głośnego bandyty, który za czasów Juliana rabował podróżnych, udających się do Lutecji (Paryża). Zdaje się, że powieszono go i pochowano w miejscu, noszącym teraz jego nazwisko, nieopodal wejścia do katakumb.

Równina ciągnąca się aż do Petit-Montrouge, przedstawia osobliwy widok. Pośród łąk, zagonów marchwi i buraków, wznoszą się czworoboki z białego kamienia, na których spoczywa zębate koło. Koło to posiada na swoim obwodzie poprzeczne deszczułki, jeden człowiek, poruszając je to jedną, to drugą nogą, wprawia w ruch całą maszynę, gdyż od koła idzie lina, windująca z głębi kamieniołomu wyciosany kamień w górę.

Pod kamień, wydobyty za pomocą haka na brzeg windy, podsadza się walce i w ten sposób toczy się go aż na miejsce przeznaczenia. Następnie lina spuszcza się w głąb po nowy ciężar, przy czym nowożytny Ixion ma chwilę wypoczynku, dopóki dochodzący z dołu okrzyk nie zawiadomi go, że nowy ciężar czeka na wydobywanie, wówczas praca zaczyna się na nowo. Do wieczora ów człowiek przy kole odbywa dziesięć mil, nie ruszając się z miejsca. Za każdym bowiem obrotem koła robi krok, tak że po upływie 23 lat mógłby się znaleźć na księżycu. Wieczorem zwłaszcza, to jest właśnie w porze, w której tamtędy przejeżdżałem, równina rozdzielająca Petit-Montrouge i Grand-Montrouge, przybiera fantastyczny wygląd, do czego przyczyniają się owe koła, obracające się w świetle zachodzącego słońca. Wygląda to jak miedzioryt Goi, na którym upiory polują na wisielców.

Około siódmej koła przestają się obracać, praca dzienna dobiega końca. Te łomy kamienne, wielkie bryły, długości 50-60 stóp a wysokie na osiem stóp, tworzą przyszyły Paryż, tutaj wyłaniający się z ziemi. Kamieniołomy, z których wydobywa się te bryły, rozszerzają się z każdym dniem. Są one dalszym ciągiem katakumb, na których spoczywa stary Paryż. Są to przedmieścia podziemnego miasta, ciągle się rozszerzające. Idąc równiną Montrouge, kroczymy ponad otchłaniami. Niekiedy napotykamy zagłębienie, małą dolinę lub kotlinę. Pod spodem kamieniołom ma słabe oparcie, gdyż powłoka gipsowa się łamie.

Powstaje szczelina, przez którą woda dostaje się w zagłębienie. Woda zmyła ziemię, stąd też ta zmiana gruntu. Nie wiedząc o tym i nie przypuszczając, że ta piękna warstwa zielenią okrytej ziemi nie ma podstaw, stąpając nogą na jedną z tych rozpadlin można nagle zapaść się, jak to się zdarzyło w Montauvert.

Mieszkańcy tych galerii podziemnych mają swój odrębny tryb życia, właściwy wygląd i charakter — żyjąc w ciemności,

posiadają coś z instynktu nocnych zwierząt, coś dzikiego i milczącego... Słysząc często o nieszczęśliwych wypadkach — słup podtrzymujący kamieniołom złamał się lub lina pękła i zabiło człowieka. Na powierzchni ziemi uważa się to za nieszczęście, trzydzieści stóp pod ziemią wszyscy wiedzą, że to zbrodnia.

Wygląd robotników jest zazwyczaj posępny. W świetle dnia oczy ich są oślepienie, głos stłumiony. Noszą włosy gładko zaczesane aż do brwi, ich zarost tylko w niedzielę spotyka się z brzytwą golibrody, koszule mają rękawy z ordynarnego, szarego płótna, ich fartuch skórzany biały jest od kamieni, spodnie są niebieskiej barwy. Noszą kamizelkę na jednym ramieniu podwójnie złożoną, opierając na tym rękojeść motyki lub siekiery, którą sześć dni w tygodniu wykopują kamienie.

Mężczyźni, których tu opisaliśmy, rzadko uczestniczą w awanturach czy kłótniach. Gdy na rogatce d'Enfer ktoś powie: — Patrzcie, oto robotnicy z kamieniołomów w Montrouge, schodzą pod ziemię — wówczas mieszkańcy okolicznych ulic potrząsają głowami i zamykają drzwi.

To obserwowałem o zmierzchu, który w miesiącu wrześniu oddziela dzień od nocy, z nadejściem ciemności rzuciłem się na poduszki powozu, skąd widziałem tyle, ile z pewnością żaden z mych towarzyszy nie widział. Tak bywa często w teatrze — wszyscy patrzą, niektórzy tylko widzą.

O wpół do dziewiątej przybyliśmy do Fontenay. Oczekiwała nas doskonała kolacja, potem spacer po ogrodzie.

Sorrento to lasek pomarańczowy, Fontenay to bukiet różany. Każdy dom posiada swe róże, kwitnące wzdłuż ścian, chronione balaskami, rosnące prosto do pewnej wysokości, a potem rozpościerające się wachlarzowato. Powietrze wokół przepojone jest zapachami, a gdy wionie wietrzyk, płatki różane sypią się jak w Boże Ciało, jakby Bóg sam święcił swe święto.

Z krańca ogrodu mielibyśmy w dzień przepyszny widok. Po oddalonych światelkach rozróżnić można było okoliczne wsi: Sceaux, Bagneux, Chatillon i Montrouge, na horyzoncie

widniała długa, czerwonawa smuga, z której dochodził głuchy szum, niby dech Lewiatana, to był oddech Paryża.

Musiano nas przemocą zapędzić do łóżka, jak dzieci. Pod tym pięknym, gwiazdzistym niebem, w tym powietrzu przepojonym woniami róż chętnie czuwalibyśmy do rana.

O godzinie piątej rano wstaliśmy, by udać się na polowanie, pod przewodnictwem syna naszego gospodarza, który obiecywał nam istne cuda, wielbiąc mnogość zwierzyny w tej okolicy.

Za całe przedpołudnie upolowaliśmy królika i cztery kuropatwy. Mój sąsiad na prawo strzelił do królika i spudłował, to samo wydarzyło się sąsiadowi po lewej ręce z kuropatwą. Ja ubiłem dwie kuropatwy. W Brassoire zwykle do południa miałem już ze cztery zające i piętnaście do dwudziestu kuropatw.

Lubiąc polowanie, nie znoszę jednak długiego włóczenia się, zwłaszcza po polach. Pod pozorem przetrząśnięcia łąnu koniczyny, leżącego na lewo, gdzie byłem pewny, iż nic nie znajdę, oddaliłem się i zniknąłem moim towarzyszom z oczu.

To, czego tutaj szukałem, już od dwóch godzin spragniony samotności, to był wąż, który uszedł uwagi innych myśliwych, a który powinien był mnie wyprowadzić drogą ze Sceaux prosto do Fontenay-aux-Roses.

Jakoż nie omyliłem się. Zegar na kościele bił godzinę pierwszą, gdy dotarł do pierwszych domów wioski.

Idąc wzdłuż muru, otaczającego jakąś piękną posiadłość, doszedłem do zbiegu ulic Dyany i Głównej. Nagle ujrzałem zbliżającego się ku mnie od strony kościoła człowieka o tak osobliwym wyglądzie, iż przystanąłem i instynktownie odwiodłem kurek strzelby, tak dalece uczułem potrzebę obrony.

Lecz człowiek ów, błądzący, z dziko przewróconymi oczyma, najeżonym włosom, odzieżą w nieładzie i zakrwawionymi rękoma, przeszedł obok, nie widząc mnie. Jego spojrzenie było

mętne i nieruchome, szedł szybko i gwałtownie, jakby miał się wspinać na wysoką górę, a jednak jego stłumiony oddech zdradzał raczej trwogę niż wysilek.

Na zbiegu obu ulic skręcił z ulicy Głównej w ulicę Dyany w stronę tej właśnie posesji, obok której muru szedłem już z siedem lub osiem minut. Brama, na którą teraz padło moje spojrzenie, była zielono pomalowana i nosiła nr 2. Człowiek ów, jeszcze nim dobiegł do bramy, wyciągnął już rękę do dzwonka, a chwyciwszy go, pociągnął gwałtownie, potem szybko odwrócił się i usiadł na jednym z dwóch kamieni, podpierających bramę. Tak pozostał bez ruchu, zwiesiwszy głowę na piersi i opuściwszy rękę.

Zawróciłem, przekonany, iż człowiek ten odgrywa główną rolę w jakimś strasznym dramacie.

Za nim, po obu stronach ulicy, ujrzałem kilku ludzi, na których zrobił widocznie to samo wrażenie, co na mnie, gdyż powychodzili z domów i również patrzyli zdziwieni.

Na dźwięk gwałtownie szarpniętego dzwonka otworzyła się mała furtka obok bramy i wyszła kobieta lat około czterdziestu.

— Ach, to wy Jacquemin? — rzekła. — Co tu robicie?

— Czy mer jest w domu? — zapytał ochrypłym głosem ten, do którego to pytanie było zwrócone.

— Tak.

— A więc, matko Antonio, powiedzcie mu, że zabiłem moją żonę i przychodzę tu, by się oddać w ręce władzy!

Matka Antonia wydała okrzyk, któremu zawtórowały głosy stojących w pobliżu i słyszających to straszne wyznanie.

Ja sam cofnąłem się krok wstecz i oparłem o pień drzewa. Wszyscy zresztą, usłyszawszy te słowa, zdrętwieli.

Morderca osunął się z kamienia na ziemię, jakby po wyrażeniu złowieszczych słów siły go opuściły.

Tymczasem matka Antonia zniknęła, pozostawiając furtkę otwartą. Najwyraźniej poszła spełnić polecenie Jacquemina.